

Księga druga  
*1491-1495*

---

## Marta i Anna

Kraków oszołomił Mikołaja. Obu chłopcom pilno było udać się na zwiedzanie miasta, ale musieli przecież pierwsze kroki uczynić tam, gdzie mogli liczyć na opiekę i pomoc. Ponieważ w Toruniu okazało się, że nie wiadomo dokładnie, ani gdzie mieszkają bracia Gertnera, ani gdzie ma swój dom Maciej Szyling, więc udali się na ulicę Kanoniczą — pod jedyny ściśle określony adres — do kanonika włocławskiego i gnieźnieńskiego, Piotra Wapowskiego. Było to niedaleko od miejsca nad Wisłą, do którego przybijały statki, a przechodziło się akurat pod samym Wawelem.

Właściciel statku przybił do Krakowa przed południem. Z pewnością dzięki temu udało się im zastać kanonika w domu. Był to mężczyzna w sile wieku, drobny i niepozorny. Gdy dowiedział się, kim są stojący przed nim w progu chłopcy, porwał ich obu i za rękawy wciągnął do sieni, a potem wyściskał mocno; ale że wyżsi byli od niego, to aż nachylać się ku jego uściskom musieli.

— Niech Bóg błogosławi zacnego Łukasza — wołał następnie ciągnąc ich do komnaty. — Mam ja ci zawsze scholarów w domu i teraz ciasno już u mnie, lecz choć to z trudem przyjdzie, dla was miejsce jeszcze znajduję.

Andrzej zaczął zaraz tłumaczyć, że nie u kanonika mają mieszkać, choć miał widoczną chętkę pozostania w tym domu, w którym między innymi scholarami byłby swobodniejszy niż u rodziny. Mikołaj wyczuł to, więc zaraz wtrącił się do rozmowy; stanęło na tym, że Andrzej pozostanie u Wapowskiego, a Mikołaj zamieszka u Szylinga, jeżeli ten go do siebie przyjmie.

Złożyło się w dodatku tak szczęśliwie, że Wapowski wiedział, gdzie mieszka wuj Maciej.

— Któż by go nie znał — mówił. — Toć to jeden z najbardziej znanych ludzi, mincmajster królewski, artysta dużej miary. Nawet go daleko szukać nie potrzeba, bo mieszka przy ulicy Grodzkiej.

Zanim sprowadzili swoje toboły znad Wisły, umyli się, obiad suty zjedli z kanonikiem, jego dom zwiedzili i zapoznali się z dwoma mieszkającymi tu już scholarami, słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Dopiero wtedy jeden z nowo poznanych młodzieńców zaprowadził Mikołaja na ulicę Grodzką, do kamienicy, w której mieszkał Szyling.

Trafili widać w najmniej stosownym czasie. Pierwsza napotkana w sieni dziewczka, z pełną stągwią ukropu, omal nie poparzyła intruza, a uratowawszy równowagę krzyknęła: — Czegoż to panicz w takiej chwili?!

Daremnie ją Mikołaj wołał, gdy rzuciwszy te słowa, pobiegła ze stągwią przed siebie. Dopiero druga napotkana dziewczka okazała się zdatna do jakiejś takiej rozmowy i zaprowadziła go do izby, w której siedział wuj Maciej. Z początku gadać nawet z nikim nie chciał, gdy zdenerwowany dowiedział się, że ktoś do niego, ale na słowa „Mikołaj Kopernik z Torunia” zawołał z radością, wybiegając gościowi na spotkanie:

— To ty jesteś ten mały Mikołaj?! Jakżeś wyrósł! Ileż masz lat?

— Dziewiętnasty mi idzie — odpowiedział Mikołaj nieśmiało i do witania gospodarza przystąpił.

— Jak ten czas leci! Niedługo i mój potomek podrośnie, taki jak ty. Masz pojęcie, na jaki dzień trafiłeś? W kominie datę dzisiejszą trzeba zapisać. Niestety, nie zaznamy tego dnia spokoju w tym domu.

— Dlaczego?

— Niewiasta moja zległa i właśnie w tej chwili rodzić ma. Ale

wiesz co? Jeżeli tak trafiłeś, to tobie oddamy wybór imienia dla noworodka. Nie wiadomo jeszcze, kiedy poród nastąpi, może dopiero w nocy, bo ciężki się zanosi, jak to u pierwiastek bywa. Zastanów się więc do jutra: jakie imię damy, gdy chłopiec będzie, a jakie — gdy dziewczę. Dobrze?

Mikołaj chętnie przystał zastrzegając się, że przecież to i od zgody matki powinno zależeć, i chciał co prędzej uchodzić z domu, lecz go Szyling jeszcze zatrzymał i od razu zaproponował stałe mieszkanie u siebie, ale dopiero za kilka lub kilkanaście dni, gdy położnica wstanie.

Jak to zwykle po długich latach niewidzenia, rozmowa zesłała na wspominki o rodzinie; Mikołaj miał więc dużo do opowiadania. Powtarzał tu mniej więcej to samo co u Wapowskiego. Szyling słuchał uważnie, godnie, z szacunkiem dla każdego słowa informatora. Nie każdy tak słuchać umie.

Izba, w której siedzieli, nie wyglądała w pełni na pracownię. Mikołaj z ciekawością oglądał projekty, rysowane albo gotowe medale i monety sporządzone nie tylko przez Szylinga lecz i przez innych mistrzów z różnych krajów. Duży pochyły pulpit służył na pewno do rysowania, stały zresztą na nim sposobne do tego przyrządy i farbki. Jeden ze stołów pełen był imadełek, pilniczków i innych narzędzi do metalu.

Najciekawsze były dwie gabloty, z których jedna zawierała moc monet polskich, a druga — obcych. Jakież to bogactwo — pomyślał Mikołaj, ale zaraz zreflektował się, że zbiory służą celom jedynie artystycznym i powiedział tylko:

— Są tu chyba u wuja wszystkie monety wszech czasów i wszech krajów świata?

— Nie, przyjacielu — zaprzeczył wuj Maciej. — Jeżeli chodzi o zbiór polski, to mam być może komplet. Ale ze świata niewiele tego. Ot, zaledwie parę starożytnych i trochę więcej z nowszych czasów.

Nadzwyczaj miło siedziało się w komnacie artysty. Mikoła-

jowi przyszło na myśl, czy i on sam nie powinien spróbować malowania, a może i rzeźbienia. Gdy we Włocławku cadran solis sporządzali, Abstemius powiedział pewnego razu: — Lekka masz rękę do pędzla, synu.

— Chciałbym być takim artystą jak wy, wuju Macieju.

Maciej przyjaźnie nań spojrział.

— Pomieszkaś u mnie, to poprobujesz. Co prawda u was raczej kupiectwo w rodzie, ale ty chyba będziesz inny. Jako i Łukasz. W moim rodzie rękodzieło jest tradycją i przechodzi z ojca na syna. Może ten, co się narodzić dziś ma, też rzemiosło artystyczne po ojcu obejmie, jeżeli to syn będzie...

Te słowa przywróciły Mikołaja ze świata marzeń do rzeczywistości. A rzeczywistość dawała znać o sobie rwetesem, bieganiem, tupotaniem. Poza tym słońce właśnie zachodziło i trzeba było przed mrokiem udać się do kurii kanonika Wapowskiego.

Szyling wyprowadził młodzieńca na ulicę i przypomniał, którą drogą powrotna. Była nieskomplikowana i krótka. Mikołaj oglądał kamienice Grodzkiej ulicy — bogatsze niż w Toruniu, inaczej też, jakby lżejszą ręką zdobione. Młodzieży na ulicy było wiele, szczególnie zaś chłopców, wśród których najczęściej można było rozpoznać scholarów. I gdy skręcał w boczną uliczkę, na której jakiś młodzieniec dziewczkę sobie przygadywał, przypomniała mu się nagle Anna.

I zaraz w następnej chwili zobaczył ją oczyma wyobraźni. Owego wieczora w szparze niedomkniętych drzwi izdebki Anny dojrzał Mikołaj światółko. To go zadziwiło, służba nie otrzymywała przecież łojówek do osobistego użytku. Podszedł na palcach do szpary i cichcem przytknął do niej oko. Wpierw zobaczył palącą się łojówkę, potem wyrko i prostą skrzynkę, zbitą ze zwykłych desek. A dopiero na końcu Annę, siedzącą w kucki na podłodze. Zaglądała do strzępków jakiegoś rękopisu i rysikiem gryzmołała na woskowej tabliczce.

To było niesłychane. Dziewczętom nie uchodziło uczyć się

